

Rafał A. Ziemkiewicz
Hrebor cudak

Łatwo jest zezłościć rożenice. Starczy przy połogu wykonać jeden gest nie w porę, uśmiechnąć się lub rzucić jakieś słowo w złej chwili. Biada wtedy matce i rodzącemu się dziecku, bo rożenice, jak wszystkie leśne demony, są złośliwe i mściwe ponad wszelką ludzką miarę. Potrafi taka spojrzeć na noworodka złym okiem, aż skrzywi się i nie wyprostuje już nigdy, potrafi zaplatać mu język albo zabrać cień, od czego każdy człowiek marnieje szybko i umiera. Potrafi jednym zmarszczeniem brwi zesać na matkę gorączkę i niechybną śmierć. A jeśli bardzo się ją urazi, wtedy odmieni dziecku serce; to prawdziwe uniesie ze sobą w głąb puszczy i zostawi pośród uroczyska, a da drugie, ułomne i sprzeczne z przyrodzeniem.

Tak się właśnie stało z Hreborem. Nie wiedzieć, w czym przewiniła rożenicom jego matka, czym je mógł urazić ojciec. Może zdarzyło im się w chwili zapomnienia radować głośno na przyjście z dawna oczekiwanego potomka? Może nie ustrzegli przed złym okiem szykowanej dla niego wyprawy? Może zawistny Jorsz, sługa demonów, który często kręci się wokół ludzkich obejść, podchwycił jakieś ich nierozsądne słowo i poniósł je ku leśnym ostępom? Tego już nikt się nigdy nie dowie. Dość że w chwili połogu odmieniła rożenica Hrebora, dając mu serce kobiety. I skoro się to stało, zaraz przysłała ku niemu zła Dola i ujęła w palce nic nowego żywota, tak że się musiało od tej chwili zdarzyć wszystko, co się zdarzyło potem.

Jednak wówczas nikt jeszcze nie wiedział, co jest pisane dziecku, i wielce cieszą się w Zadragu z jego przyjścia na świat. Ojciec Hrebora, wódarz Żargrad, wiódł się z rodu Pahwazdów i chociaż nie był to jeszcze w tym czasie ród tak liczny i potężny, jak potem, należał już do najmożniejszych w całym Slengu. Tymczasem Żargrad, choć już niemłody, wciąż nie miał dotąd potomka, któremu mógłby zostawić wódarstwo. Radował się więc bardzo, zwłaszcza że upragniony syn widział mu się chłopakiem silnym i mocnym, który wyrośnie na dzielnego wojownika i rozważnego gospodarza. Gdy unosił malca, trącając jego główką o stropowe belki, i prosił wszystkich opiekunów rodu, wszystkie domowe chowańce o życzliwość i troskę nad nim, gdy dotykał nim progę i paleniska, oddając go w opiekę przedziadom, marzył w duchu o sławie, jaką zdobędzie jego syn i jaką okryje swój ród. Może spełniłyby się te marzenia, gdyby się już losy dziecka nie ustaliły wcześniej. Lecz tak próżne były hojne obiady, które posyłał do trzemu, i zaklęcia sprowadzonych żerców.

Był Żargrad człowiekiem rozważnym i lękał się, aby puszczańskie moce nie powzięły złości ku jego pierworodnemu. Stąd dał synowi to imię, które dziwiło potem niejednego, kto je słyszał. Jakoż zdawało się, że jego zmyślność odniosła skutek; Hrebor rósł na tegiego młodzieńca, śmigłego i szerokiego w barach, choroby nie imają się go wcale, wzrok miał bystry, a pięści mocne. Był też dzieckiem nad wiek zmyślnym i nieraz zadziwiał starszych słowami, jakich nikt by się nie spodziewał po niedorośłym otroku. Zarazem jednak zdradzał dziwną ospałość i skłonność do popadania w zadumę. Robił, co do niego należało, lecz sam z siebie nigdy o nic nie zadbał, najbardziej zaś lubił siedzieć przy ogniu i słuchać opowieści i śpiewów. Zapominał wtedy o całym świecie i nigdy nie miał tego dość.

Żyło w tym czasie wielu wędrownych mistrzów, którzy całe swe życie poświęcali doskonaleniu się w sztuce wojennej. Takiego mistrza, imieniem Starz, sprowadził na swój dwór Żargrad, aby objął on pieczę nad Hreborem; a było to wkrótce po tym, jak młodzieńcowi ścięto po raz pierwszy włosy i odebrano go spod opieki matki. Przez wiele lat zachodził Starz do Zadragu i całymi dniami ćwiczył młodego Pahwazdę w trudnej sztuce szermierki, wieczorami zaś wpajał mu mądrość dawnych mistrzów. Żargrodowic słuchał go pilnie i przykładał się do ćwiczeń najlepiej, jak umiał, gdyż wiedział, że taka jest jego powinność. Szybko jednak spostrzegł Starz, że chłopiec nie ma zupełnie serca do męskich spraw i niechętnie o nich myśli. Z czasem obracał włócznią coraz sprawniej, ale zezłoszczony

mistrz wymawiał, iż czyni to jak tancerka, nie jak wojownik. Wreszcie gdy uznał, że dość już nauki, poddał Hreboru zwyczajowej próbie. Dał mu prawdziwą włócznię, ostrą i smukłą, zamiast drewnianej, i wypuścił na niego podrażnionego psa. Żeby dowieść swej siły, powinien uczeń rozplatać zwierzę jednym ciosem od głowy do ogona. Hrebor tymczasem uskakiwał tylko na bok, nie uderzając. Dwa razy tak zrobił, wreszcie, przynaglany przez mistrza i kąsany coraz dotkliwiej, uderzył. Chlusnęła krew i wtedy zdarzyło się coś, czego Starz nigdy w życiu nie oglądał: jego uczeń cisnął włócznię na ziemię i uciekł z płaczem, klnąc się, że nigdy nie uderzy nikogo ostrym żelazem. Długo potem leżał w postaniu i łkał, a na samo wspomnienie tej chwili brały go torsje.

Tegoż wieczora Starz opuścił Zadrag, a na odchodnym rzekł włodarzowi:

— Wiele lat wędruję po puszczy, ale dotąd nie widziałem chłopca równie dziwnego jak twój syn. Znam się na ludziach i powiem ci, że nigdy nie będzie z niego ani wojownik, ani gospodarz. Najlepiej by było, gdybyś oddał go żercom. Niech pali zioła i śpiewa zaklęcia, bo do niczego innego się nie nadaje.

Żargrad zezłościł się tylko i ani mu w głowie było słuchać rady Starza. Pomyślał, że dziwna ta słabość minie pewnie Hreborowi z wiekiem, tymczasem zaś sam uczył go gospodarowania.

Zdarzyło się w jakiś czas potem, że Żargrad musiał na dłuższy czas wyruszyć w podróż. Zostawił więc wszystkie sprawy na głowie syna, przykazując sługom, by we wszystkim byli mu posłuszni.

Długo wspominali pachołkowie ten czas, Hrebor bowiem karmił ich równie dobrze, jak sam jadł, i mało doglądał. Nawet gdy wyszedł w pole, zaraz wciągali go w gadkę i kiedy jeden opowiadał mu jakąś historię, pozostali wypoczywali w najlepsze. Tymczasem rok był zły, powódź poczyniła znaczne szkody w zasiewach, a wielki wiatr przetrzebił mocno budynki w osadzie, tak że nawet najlepszy gospodarz miałby sporo kłopotu. Hrebor zaś, kiedy przychodzili do niego pachołkowie i użalali się na głód i nędzę, litował im się, zwalniał z powinności, a nadto jeszcze obdarzał wyniesionym z ojcowskiej komory dobrem. Matka i zaufani słudzy włodarza próżno napominali go, miał bowiem taką naturę, że nigdy nie pomyślał o tym, co zdarzy się następnego dnia.

Pewnie by włodarskie obejście niszczało pod jego zarządem do cna, gdyby nie wrócił wreszcie Żargrad. Kiedy zobaczył wielkie zaniedbania w gospodarstwie, wpadł w złość i kazał wzywać syna do siebie, ale że nie było go w obejściu, bo spacerował sobie właśnie po lesie, słuchał więc tylko Żargrad opowieści o tym, co się pod jego nieobecność działo. Na samym końcu dowiedział się o owym obdarowywaniu ścierciałów przez Hreboru i wpadł w gniew tak straszny, że nawet żona kryła się po kątach dworu, aby nie wpaść mu w takiej chwili pod rękę.

Powściągnął się jednak i gdy Hrebor stawiał się wreszcie przed nim, usiłował mu najpierw przemówić do rozumu:

— Ojcowie moi wiele lat trudzili się, by zdobyć to, co ty gotów byś z lekkim sercem rozdać ścierciałom, skoro tylko poczną jęczeć i narzekać na swój los. Wiedz, że tak jest świat urządony, iż nic nie przychodzi bez trudu. Ojców moich nikt nie wspierał, lecz gdy przyciskał zły los, szli z włócznią na wyprawy. Wielu z nich oddało głowy w obcych krajach, zanim uzbierało się z łupów na jako takie obejście. Komu głód i nędza, niech zakasa rękawy i mozołem dochodzi swego albo niech weźmie włócznię i idzie po łupy, a nie czeka na głupca, co go wesprze datkiem. Dlatego mocą mojej ojcowskiej władzy każę ci przyprowadzić tu wszystkich tych leniwych, których w dziecięcej głupocie obdarowałeś, i sam dopilnujesz, aby odpracowali w dwójnasób to, co wzięli. A jeśli źle to zrobisz, wymierzę ci karę zgodną z obyczajem.

Hrebor wszakże słuchał go z podniesioną głową i odpowiedział zuchwale, jak nigdy mu się nie zdarzyło:

— Wspierałem tych, którym złośliwe Dole nie pozwoliły zaznać w życiu radości. Jest u nas dość dobra, żeby starczyło go dla chorych i steranych. A jeśli ojcowie siłą odbierali ludziom ich własność, nie chcę tego dziedziczyć i wolę zrobić z ich srebra lepszy użytek.

Gdy to usłyszał, stracił Żargrad wszelką rozagę, chwycił za drag i obił nim pierworodnego, aż ten spłynął krwią i nie mógł się o własnych siłach poruszać. Matkę jego zaś, gdy chciała odciągnąć go od syna, zajechał przez głowę, że wiele dni leżała w łóżu bez ducha. Po czym zabronił dawać mu jeść więcej niż chleb i wodę i wpuszczać go do gospodarskich izb, póki nie nabierze rozumu. Wtedy też właśnie nazwał w złości Hrebor cudakiem, nie myśląc nawet, że przezwisko to przylgnie do jego syna na zawsze.

Po tym Hrebor zapałał do ojca taką nienawiścią, że nigdy już nie mogło być zrozumienia między tymi dwoma najbliższymi sobie ludźmi. Nie czekał nawet, aż wyliże się z ran, ale jeszcze kulejąc i plując krwią, zebrał w węzełek garść swoich rzeczy i nocą, nie mówiąc nikomu, opuścił ojcowskie dworzyszczce. Na drodze się jeszcze obrócił, przeklął głośno ojca i rzekł, że nigdy w życiu nie chce go widzieć. Prędko też złośliwy Jorsz podchwycił jego słowa i nie wiedział nawet Hrebor, że stanie się, jak powiedział.

Rankiem Żargrad porozysłał pachokłów, by przywiedli Hreborą do domu. Krzyczał przy tym, że zabije go własną ręką, woli bowiem nie mieć syna wcale, niż mieć takiego, który swą głupotą i uporem ściąga hańbę na cały ród. Ale pachokłowie w duchu litowali się nad chłopakiem, toteż pomogli mu w ucieczce, dali mu jeszcze żywność i parę groszy na drogę.

Tak zatem mając ledwie szesnaście wiosen, opuścił Hrebor swój dom, bez żalu, a tylko z nienawiścią w sercu. Wędrował przez świat od jednej osady do drugiej, lecz nigdzie nie mógł zagrać miejsca. Wkrótce też pokosztował losu, od którego chciał wybawić innych, próżno bowiem szukał człowieka, który chciałby wspomagać włóczęgę, niczego w dodatku nie umiejącego. Poznał nędzę na własnej skórze, gdy musiał za kawałek chleba imać się różnych zajęć, nieraz zdzierając ręce do krwi. W innym może obudziłoby to rozsądek, ale Hrebor im więcej znosił niedoli, tym bardziej zacinał się w swym uporze. Pewien swej racji gotów był znieawidzić cały świat za to, że był inny, niżby on chciał. Tak powoli wzbierało w młodym włóczędze szaleństwo, ale nim wzrosło, dużo jeszcze miało upłynąć czasu.

Tymczasem szedł bez celu i kierunku, aż po wielu dniach dotarł do podgórskiej osady zwanej Skerh. Tak się zaś złożyło, że przybył tam w samo święto zimowego słońca, gdy w osadzie bawiono się hucznie i radośnie przez cały dzień i noc. Choć więc nikt go tam nie znał, przyjęli Skerhanie przybysza życzliwie, jak to bywa podczas wielkiej uciechy. Usadzili go przy biesiadnym stole, dali mu jeść do syta i piwa, ile chciał.

Skoro już najadł się i napił jak nigdy, odkąd wyruszył z domu, począł wsłuchiwać się w rozmowy Skerhan; nie mieli oni wielu powodów do zmartwień, ale w jednym im zbywało, że nie przyszedł do osady żaden gędziarz, który by zabawił ich pouczającą historią. Wtedy uznał Hrebor, że wypada wywdzięczyc się za gościnę, wystąpił i zaczął opowiadać.

Spotkał w drodze wielu gędziarzy, dotąd mu nie znanych, gdyż Żargrad miał ich za darmożjadów i nigdy nie wpuszczał za swój próg. Słyszał od nich różne historie, a miał tę zdolność, że wszystkie zapadły mu—głęboko w pamięci i nieraz, nie mając się do kogo odezwać, powtarzał je sam sobie. Toteż dobrze mu szły gędźby, chociaż przedtem tego nie próbował. Opowiedział najpierw o Gaszronie Mocarnym i stolinach, potem o wyprawie Żdawora i o zaklętej włóczni; wielu znało te gędźby, ale Hrebor, sam skory do wzruszeń, potrafił poruszyć serce w każdym, kto go słuchał. Po każdej opowieści nie żałowano mu miodu i jadła, a byli i tacy, co rzucali mu srebro i mówili, że lepszego nigdy nie słyszeli. Rozochociło to Hreborą i opowiadał dalej, aż w końcu, mocno sobie podchmieliwszy, zaczął historię zupełnie nową, nie złożoną dotąd przez nikogo. Mówił o złym i chytrym człowieku, który wygnał z domu własnego syna, bo mierziło go oddawać mu w dziedzictwo swój majątek, a potem o złym losie wygnanego. Nie dbał przy tym o prawdę, lecz sam wzruszał się tą opowieścią coraz bardziej i plótł rzeczy zupełnie niestworzone, nim pojął wreszcie, że nijak

nie będzie umiał tej gęźby skończyć. Szczęściem dla niego świtało już, większość uczujących posnęła, a z tych, co jeszcze słuchali, żaden nie umiałby powiedzieć, o czym mowa. Hrebor więc przerwał, mówiąc, że zabrakło mu piwa, i tym sposobem wymknął się z biesiady.

Ale władarz osady, Trzebor z rodu Streżdów, jak przystoi dobremu gospodarzowi, pił na uczcie niewiele, by mieć baczenie na wszystko. Słuchał słów przybysza i zapadły mu one głęboko w serce, rozumiał bowiem, że nieznajomy opowiada swoje dzieje. Był Trzebor człowiekiem wielce zacnym, więc wieść o takiej podłości oburzyła go bardzo. Wezwał wędrowca do siebie i spytał, czy dobrze domyśla się, o kim była ta opowieść. Hrebor rozczulił się jego troską i potwierdził, a wtedy Streżda rzekł mu:

— Nie martw się więcej, przybyszu, bo trafiłeś na przyjaciół. Co roku wodzę tutejszych ludzi na wyprawy i wiele włóczni mam na swoje rozkazy. Pomogę ci odzyskać ojcowiznę, z której cię tak podle wyzuto.

Zaraz też poprowadził go pod święty dąb i tam poprzysięgli sobie przyjaźń i pomoc.

Tak zatem zamieszkał Hrebor u władarza Skerhu. Rankiem wprawdzie, gdy piwo wywietrzało mu z głowy, przeraził się, ale nie trwało to długo; pomyślał zaraz, że do wiosny jeszcze daleko i w razie czego zawsze zdąży coś wymyślić, a na razie ma gdzie przezimować i może jeść do syta. W zamian bawił wieczorami gospodarzy różnymi historiami słyszаныmi na gościńcu, a częściej jeszcze zmyślonymi, to bowiem szło mu lepiej niż komukolwiek innemu. Polubili go wszyscy, gdyż dla każdego miał dobre słowo i nigdy nie odmawiał pomocy.

Szczególnie jednak przypadł do serca żonie Trzebora, Danradzie. Nie była to już kobieta młoda, ale wciąż jeszcze piękna i pełna uroku. Mąż niewiele o nią dbał, zajęty ważniejszymi sprawami, a kądziel i doglądanie dzieci nudziły ją okrutnie. Upodobała sobie młodzieńca za jego łagodne obejście i łatwość, z jaką poddawał się wzruszeniom. Trudno też było jej nie spostrzec jego urody i silnych mięśni, jakie wyrobiła w nim ciężka praca i trudy wędrowni. Przebywała z nim często, słuchała jego słów i przyglądała mu się skrycie.

Hrebor dostrzegł w niej bratnie serce i polubił ją, lecz na wszystkie czułe słowa i sekretne gesty pozostawał nieczuły, widząc w tym jedynie zwykłą przyjaźń. Ta jednak jego dziecięca niewinność podsyciała tylko żądze Danrady, aż zatraciła do cna rozsądek i uczciwość wobec męża.

Pewnej nocy wreszcie, nie mogąc wytrzymać dłużej trawiącego ją żaru, zakradła się do izby, w której spał Hrebor, i wyjawiała mu swe uczucia. Tak przy tym była dla niego dobra i z taką czułością pieściła go, szepcząc miłe słowa, że ogień jej udzielił się Hreborowi i straciwszy opamiętanie, pograżył się w nie znanej mu dotąd rozkoszy. Tej nocy pokochał Danradę pierwszą, młodzieńczą miłością, która całkiem odebrała mu rozum i zawładnęła nim do cna.

Odtąd niepomny był na nic, całe dni chodził jak we śnie, myślał bowiem tylko o swej kochance i zbliżającej się nocy. Ledwie zaś się ściemniało, przychodziła do jego izby i nie opuszczała jej aż do świtu. I chociaż Danrada, wiedząc, jak może się to skończyć, nie zaniedbała niczego, by ukryć ich związek, przecież nie mogło to wiecznie być tajemnicą. Wkrótce też służące, które zawsze wszystko wiedzą najlepiej, przejrzały, co zaszło między ich panią a przybyszem. Milczały jednak, bojąc się gniewu gospodyni i widząc, że Trzebor ufa obojgu i niczego się nie domyśla.

Jakoż władarz Skerhu co innego miał na głowie, tak już bowiem jest, że o występkach kobiety jej mąż zawsze dowiaduje się ostatni. Nie tracił on czasu, lecz mimo zimowej pory rozsyłał pachołków z listami do wszystkich swych krewnych i przyjaciół, przykazując im też, by ogłosili po okolicy wiosenną wyprawę. Wspominał w tych listach także o Hreborze, tak jak jego losy znał, i wielu sprawa ta zaciekała. Hrebor bowiem, skłonny przesadzać we wszystkim, mówiąc o swym ojcu uczynił z niego bogacza, jakich mało w całym Slengu. Dla zacnego Trzebora był to tylko jeden więcej dowód podłości starego Pahwazdy, innych jednak

poczęła kusić chęć łupów nie gorszych niż za górami, a łatwiejszych do zdobycia, w dodatku całkiem zgodnie z prawem, gdyż słusznie było ujmować się za pokrzywdzonym.

Przyszła wreszcie wiosna, stopniały śniegi, leśne drogi obeschły, a w puszczy pobudziły się niedźwiedzie. Zaczęli ściągać do Skerhu wojownicy chętni na wyprawę. Przybyło wielu Strezdów, zaciekłych i wyćwiczonych w bojach z Orwańczykami, przyszło też sporo ludu z innych rodów, bo Trzebor, jako rozważny gospodarz i wódz, cieszył się poważaniem w całej okolicy. Zebrało się samych gospodarzy prawie trzydzieści włóczni, a różnych włóczęgów, parobków i innych ludzi luźnych ze dwa razy tyle, tak że ledwie starczyło dla wszystkich miejsca w osadzie. Nie chciał Trzebor zwlekać, by zapał nie wypalił się w beczynności, więc nie czekając nawet, aż drogi lepiej obeschną, zebrał ich u siebie dla ustalenia, dokąd pójdą i którądy.

Z niechęcią szedł Hrebor na tę radę, pełen żalu, że nie potrafi zatrzymać czasu, bo nie uśmiechała mu się rozłąka z Danradą. Zarazem jednak nie tracił nadziei, obmyślił bowiem pewien podstęp, by wszystko, co dotąd naplątał, wyjaśnić i nie stracić przy tym czci.

Jakoż los zdawał się mu sprzyjać, bo gospodarze nijak nie mogli się pogodzić co do celu wyprawy. Większość chciała mścić Hrebora, inni jednak, a zwłaszcza Radwar z Nawranzów, wywodzili jako rzecz godniejszą iść do Orwanu. „Niechże Hrebor idzie z nami — mówili — a skoro okaże się dobrym towarzyszem i wróci z łupem, tym łatwiej zjedna sobie stronników”. Spierali się tak pół dnia, aż Hrebor przemówił w te słowa:

— Cieszcie mnie, że pragniecie mi pomóc, ale nie sposób nie przyznać racji tym, którzy wolą iść za góry. Niechże was pogodzę: pójdę do swej osady i raz jeszcze rozmówię się z ojcem. Jeśli znów powtórzy to co przedtem, poproszę was o pomoc, a jeśli wróciło mu opamiętanie, przyjdę tu po to, aby iść z wami do Orwanu. Wy zaś i tak nic na tym nie straciecie, bo przez ten czas gościńce obeschną i droga będzie łatwiejsza.

Wszyscy uznali, że mówi rozsądnie, i zgodzili się na to. Zaczął się Żargradowic szykować do drogi, rad, że wywiódł gospodarzy w pole i zyskał przy tym sławę dobrego syna, nawet wobec podłego ojca. Taką bowiem odkrył w sobie podczas zimowych godów cechę, że ogromnie cieszyło go uznanie innych.

W istocie nie myślał, rzecz jasna, wracać do Zadragu. Chciał tylko przeczekać pewien czas w lesie i wrócić z wieścią o ujednaniu z ojcem, a potem pójść z wyprawą, ale na krótko. Skoro dojdą do gór, wymknie się pod byle jakim powodem i wróci do Skerhu, zabierze Danradę i powędrują gdzieś dalej, gdzie nikt ich nie rozpozna.

Pewien był, że mu się ten plan powiedzie, ale jednego nie wziął pod uwagę. Otóż, gdy siedział w pobliskim lesie i liczył dni, pozostali skracali sobie czas, jak kto umiał. Najpierw biesiadowano hucznie, jak to zawsze przed wyprawą, kiedy nikt nie wie, czy dane mu będzie wrócić. Ale gdy uczyły trwały zbyt długo, ludzie stają się ponurzy, znika wesołość, a każdy tylko szuka zwady. Stało się zatem jakiś tydzień po odejściu Hrebora, że Trzebor pokłócił się mocno z Radwarem. O co poszło, nikt nie zapamiętał, dość że w złości wyrzucił Radwar Trzeborowi, iż człowiek, który własnej żony nawet nie umie dopilnować, tak się nadaje na wodza wyprawy, jak kamienie na rozpałkę.

Nie wiadomo na pewno, skąd Radwar wiedział o tej sprawie, nietrudno jednak zgadnąć, iż pewnie od pachołków włodarza. W każdym razie ich wezwał, gdy gospodarze kazali mu dowieść tej obelgi, jeśli nie chce być ukarany za oszczerstwo. Wtedy to przy wszystkich potwierdzili, co między ścierciałami szeptano już od dawna, a Danrada broniła się słabo i nie umiała zaprzeczyć niczemu. Jeszcze tego samego dnia poniosła zasłużoną karę: wysieczono ją wobec wszystkich różgami, wypalono na ciele haniebne klejmo wiarołomczyni i pośtód razów i urągani wygnano sromotnie do puszczy.

Niewiele to ulżyło włodarzowi, którego omal krew nie zalała z wściekłości, iż tak pozwolił z siebie zrobić durnia. Ilekroć wspominał, że sam wprowadził zdrajcę do swego domu i obdarzył łaskami niczym rodzony syna, tłukł głową o ściany jak szaleniec i rozwalał, co

miął pod ręką. Jedno co mu sprawiało w złości ulgę, to szykowanie kaźni dla Hrebora, skoro tylko powróci.

Ale złe duchy zbyt wiele miały z młodego Pahwazdy pociechy, aby mu pozwolić umrzeć tak prędko. Sprawiły zatem, że gdy wreszcie wyruszył z powrotem do Skerhu, spotkał w przydrożnej gospodzie pewnego sytnika, wędrującego z Harlongu. Kiedy zauważył, że biedak jest głodny i zdrożony, uraczył go wieczerzą zakropioną dobrze piwem, za co ten odwdzieczył mu się nowinami ze świata. Było wśród nich i to, co usłyszał przechodząc przez Skerh.

Struchlał Hrebor na tę wieść, pojął bowiem, że Trzebor nie spocznie teraz, póki go nie obedrze ze skóry. Toteż zawładnęła nim taka trwoga, że w pół rozmowy zerwał się nagle i uciekł z gospody, choć był już wcześniej zapłacił za nocleg. „Zacny jakiś człowiek, ale cudak straszliwy” — rzekł patrząc na to sytnik i słowa te dobiegły Hrebora już za drzwiami.

Daleko odszedł od Skerhu i innych siedzib Strezdów, nim strach opuścił go na tyle, by mógł przystanąć i chwilę pomyśleć. Żarła go złość na swą podłą Dołę, ale bardziej jeszcze to, iż pozostawił miłowaną kobietę na pastwę losu ani o niej nawet nie pomyślałszy w pośpiesznej ucieczce. Ogarnęła go rozpacz taka, że nic tylko przewiesić przez jakąś gałąź sznur i tak zakończyć głupi żywot. Jeśli tego nie zrobił, to tylko ze strachu, iż po śmierci przypadnie mu los leśnego upiora i cierpienie po kres świata. A może wstrzymała go też myśl o odkupieniu zła, jakiego narobił, bo chociaż serce miał, jakie mu dano, i nic na to poradzić nie mógł, tliła się w nim przecież odziedziczona po przodkach zacność. Nie wiedział tylko, jak by to mógł uczynić i być może rozmyślał nad tym w czasie pośpiesznych wędrówek przez puszcze, z dala od gościńca.

Po sytm i błogim życiu w Skerhu teraz znowu zaznał nędzy. Nie cierpiał jednak już od niej tak jak przedtem, bo gdy wreszcie odważył się zbliżyć do ludzkich osiedli, utrzymywał się z opowiadania historii po gospodach i jarmarkach. Lecz choć mówił jak zawsze zajmująco, rzadko go wynagradzano za gędźby, gdyż zbyt wiele było w nich smutku. On sam zresztą od zgryzoty zmienił się bardzo i niewiele przypominał tego wesołego młodzieńca, który samym swym obejściem budził ludzką życzliwość. Postarzał się i przygarbił, twarz miał ponurą, a z każdego jego słowa i gestu biło coś, co nie pozwalało się radować w jego towarzystwie i każdy oddychał z ulgą, kiedy Hrebor odchodził. Tak to już jest, że widome nieszczęście nigdy nie wzbudza życzliwości. Nadto jeszcze na pewnym jarmarku przyłapano go, iż to, co opowiada, zmyślił od początku do końca, za co wytarzano go w smole i obito na odchodne.

Trafił wreszcie do osady, zwanej Isthard. Była niedaleko niej sławna świątynia, schowana pośród mokradeł. Wychwalano w całej okolicy mądrość żerców z leśnego trzemu i skuteczność ich modłów, większą niż gdzie indziej, bo świątynię postawiono w miejscu nawiedzanym w pradawnych czasach przez samego Swarga, kiedy to jeszcze schodził on z obłoków.

Gdy postyszał o tym Hrebor, zaświtała mu nadzieja. Za wszystko, co miał, nakupił poświęconej kaszy na obiady i choć nie było jej wiele, ruszył zapytać bogów, co mu wypada czynić. Drogę znalazł łatwo i wkrótce już zobaczył wielką budowlę o gładkich ścianach, wysokiej bramie i dachu, srebrzystym od starości. Skłonił się, jak przystało, i poszedł dalej, lecz skoro stanął tak blisko bramy, że mógłby dotknąć jej ręką, zatrzymał się nagle i nie mógł postąpić ani kroku więcej. Zapał się i zebrał w sobie, ale tylko nogi zaryły mu się głębiej w piaszczystej drodze, jakby jakaś niewidzialna ściana stanęła mu na przeszkodzie. Próżno mocował się z nią, aż opadł zupełnie z sił. Dostrzeżono go wreszcie z trzemu, gdy tak szarpał się na drodze, a skoro nie ustępował, uchylono bramę i jeden z żerców stanął w niej, trzymając w dłoni chroniący przed złymi mocami amulet.

— Kim jesteś ty, któremu bogowie widomie bronią wstępu do swej świątyni? — zapytał.

Na te słowa zrozumiał Hrebor, że wpadł we władzę demonów i dlatego święte miejsce jest dla niego zamknięte. Upadł na drogę i zapłakał gorzko, rozsypując poświęconą kaszę. Targał

na sobie szaty i rwał włosy z głowy, aż zlitował się święty mąż i wyszedł do niego. Od bliskości potężnego amuletu Hrebor uspokoił się trochę i łkając opowiedział zercowi swą historię. Ten wysłuchał go cierpliwie, po czym zadumał się głęboko i rzekł mu wreszcie:

— Pierwszy raz złamałeś prawa, sprzeciwiając się ojcu. Drugi, opuszczając dom bez jego wiedzy i błogosławieństwa. Trzeci, rzucając nań oszczerstwo. Czwarty zaś, biorąc kobietę człowieka, który okazał ci dobroć i któremu przysięgałeś przyjaźń. Już drugi z tych czynów wystarczył, byś wpadł we władzę złych duchów, a każdy następny oddalił od ciebie nadzieję tak, iż prawie już jej nie widać. Lecz że złamała cię nie podłość, ale złośliwość demonów, poradzę ci, co masz czynić. Najpierw jednak chcę poznać twe imię i ród.

Powiedział tak, bo jak to często jest u zerców, umiał przenikać ludzkie losy i poznał, co jest przyczyną klęsk przybysza. Ale Hrebor, odkąd uciekł przed gniewem Trzebora, nie zdradzał nikomu swego imienia, gdyż wiedział, że Streżdy rozesłali po kraju listy, w których obiecywali wiele zapłacić za jego głowę. Po drodze przedstawiał się jako Cudak, pamiętając słowa sytnika, a każdy uznawał, że to dla niego dobry przydomek i q więcej nie pytał. Tak też nazwał się i teraz, na co kapłan odrzekł gniewnie:

— Głupio robisz, że taisz przede mną swe imię. Jak jednak chcesz. Obiecałem ci radę, więc masz ją: wracaj tam, gdzie zaczęły się twoje przewiny, i idź ich tropem. Jeśli ludzie znajdą dla ciebie przebaczenie, może zdołasz znaleźć drogę, chociaż to stokroć trudniejsze, niż ją zgubić. Gdybyś na nią wrócił, doprowadzi cię tutaj, a jeśli nie, bądź przeklęty i niech się twój los dopełni dla igraszki złych sił.

Powiedziawszy to, odwrócił się i wszedł w bramę, którą też zaraz za nim zawarto.

Hrebor pozostał jeszcze długi czas na ścieżce, nim zdecydował się wrócić do Zadragu i prosić ojca o wybaczenie. Postanowił to wreszcie i ruszył do rodzinnej osady.

Ale zdarzenia płynęły tymczasem szybko, jak szybko płynie woda w strumieniu. Zostawmy zatem Hreborą, gdy tak wędruje leśnymi ścieżkami, i zobaczymy teraz, co działo się z Trzeborem i zebranyymi w jego osadzie gospodarzami.

Skoro Hrebor nie wracał, rozesłali oni po okolicy pachołków. Uczynili to zbyt późno, by mogli dopaść przemykającego się puszcza wiarołomcę. Spotkali natomiast owego sytnika, z którym Żargradowiec rozmawiał w gospodzie. W ten sposób Streżda dowiedział się, że Hrebor umknął przed jego gniewem. Dowiedział się też czegoś jeszcze, co młodzieniec nierozważnie rzekł sytnikowi, że ujednał był się z ojcem i został przez niego przywrócony do praw.

— Skoro tak, nie gdzie indziej jak na ojcowym dworzyszczu szukać będzie schronienia — powiedział Trzebor do towarzyszy. — Przyjaciele moi, obiecywałem powieść was na wyprawę, lecz wpierw dokonać muszę swej zemsty. Jeśli wolicie iść za góry, niechże was prowadzi kto inny. Lecz zważcie, że ojciec tego łotra jest nie lada jakim bogaczem i słusznie będzie wziąć na nim łupy.

Zakrzyknęli wszyscy, że nie opuszczą włodarza w nieszczęściu i tak wyprawa została rozpoczęta.

Wkrótce potem, przeszedłszy skroś puszczy, stanęli pod częstokołem Zadragu. Nikt w osadzie ani się spodziewał napaści, bo w te strony od lat już nie zaglądał żaden nieprzyjaciel, niewielu więc pachołków mógł Żargrad postawić przeciw wojownikom Streżdy. Krótka trwała walka — kto nie zdążył uciec, ginął od włóczni bądź topora albo szedł w łyka. Żargrad jednak nie złożył broni i nie myślał błagać litości, lecz bronił ojcowizny i wielu położył trupem, zanim sam wreszcie padł na skrwawioną włócznię.

Nie znaleziono w osadzie ani Hreborą, ani obiecanych łupów i próżno żona Pahwazdy, płacząc i załamując ręce nad pobitym mężem, tłumaczyła Streżdom, że nic nie jest tak, jak myślą. Nie dali jej wiary i chcąc dowiedzieć się, gdzie Żargrad ukrył swe skarby, dręczyli nieszczęsną dopóty, dopóki nie wyzionęła ducha. Zezłościła ludzi Trzebora ta zawziętość, że nawet konając nie chciała wydać bogactw. Pobrali wszelkie dobro, jakie znaleźli w osadzie, a

było tego niemało, i spalili ją do gołej ziemi, nie szczczędząc nawet drzew. Po czym odeszli, niesyci ani łupów, ani zemsty.

Wiele czasu minęło, nim ci nieliczni, którzy ocalili z pogromu, odważyli się wyjść z leśnych kryjówek. Pochowali zabitych, opłakali ich godnie, a dla włodarza i jego żony usypali na starym żalniku osobny, wysoki stos. Kiedy go podpalali, ujrzeli na drodze wędrowca w łachmanach, pędzącego ku zgłiszczom. Z trudem rozpoznali w nim Żargradowica, tak miał zmienioną twarz i tyle szaleństwa w oczach, gdy u stóp płonącego stosu słuchał ich opowieści.

Kto wiele w życiu wycierpiał, ten wie, iż przychodzi wreszcie chwila, że oczom brakuje łez, a piersi tchu do lamentów. Tak się też stało z Hreborem. Kiedy wpatrywał się w płomienie, dusza jego przepaliła się do cna i pojał, iż jest przeklęty na wieki. Od tej pory nigdy już nie miał zapłakać, jak tylko jeden jedyny raz, ale o tym opowiem wam w swoim czasie. Nie rozumieli Zadrażanie, czemu milczy i stoi jak posąg, czemu nie pożegna się z rodzicami, nie rzuci w ogień świętej gałęzi, nie zaprzysięże zemsty. On zaś myślał o tym tylko, by rzucić się w płomienie, lecz strach poraził go znowu i nie umiał przymusić skamieniałych nóg do ruchu. Tkwił więc nieczuły jak głaz, póki stos nie wypalił się, a Zadrażanie nie usypali na wyżarzonych popiołach kurhanu. Niektórzy widząc to szemrali, że mógł się wadzić z ojcem, ale nie zaopatrzyć go na śmierć i nie pomścić — to hańba. Inni jednak uciszali ich, bo pamiętali go jako człowieka życzliwego ludziom, i kazali wzywać żerców, by wypędzili z młodzieńca szaleństwo.

Nim to jednak zrobiono, poruszył się wreszcie Hrebor, upadł na kolana, przylgnął czołem do świeżo usypanego kurhanu i szeptął: „Co mam czynić? Co mam czynić?”

Nikt nie wiedział, co naprawdę znaczyły te słowa powiedziane do samego siebie i ile w nich było bólu. Ucieszyli się Zadrażanie, że minął zły czar. Przynieśli mu ocalałą ze zgłiszcz włócznie, a była to ta sama włócznia, którą go niegdyś uczył władać Starż, i wtykając ją Hreborowi w ręce, mówili: „Pomścij ich! Pomścij!”

I choć nie opuszczał Pahwazdy strach i nie widział drogi przed, sobą, wiedział, że tak musi zrobić. Przyjął włócznie i odszedł, jak się pojawił, bez jednego słowa.

Że szedł ledwie włokąc nogi, nie wiedząc dokąd się skierować, wieść o tym, co stało się w Zadragu, wyprzedziła go, obiegła rozrzucone pośród puszczy i mokradeł osady. Wszędzie obudziła gniew i grozę, a zwłaszcza tam, gdzie mieszkali ludzie wywodzący się z rodu Pahwazdów bądź im sprzyjający. Krewniacy jego, dowiedziawszy się o okrutnym losie Żargrada, poprzysięgli zemstę Streżdom i zwoływali się na rady. Szczególną zaś zawziętością zapalał rodzony brat Żargrada, Skerwarż z Urhaszu, której to osady dziś już nie ma, bo zniszczonej w wojnach nie odbudowano.

Razu pewnego Skerwarż przydybał koło swego włodarstwa kilkunastu wojów idących do Estaronu, a że jeden z nich nosił rodową maskę Streżdów, otoczył ich ze swymi ludźmi i wyzwał owego Streżdę na pojedynek.

Próżno przedkładali mu, że są w służbie księcia z Ranżnaru i z jego polecenia wędrują przez kraj.

— Nic mi do was — odrzekł Skerwarż — i nie z wami szukam zwady. Lecz ród tego człowieka rozlał krew mojego brata i poprzysięgłem śmierć każdemu, kto nosi jego znaki.

— Nie uchybię ci — powiedział mu Streżda — ale będąc książęcym dziesiętnikiem, nie mogę krzyżować z tobą włóczni, póki nie spełnię naznaczonego mi zadania. Wtedy przyrzekam ci wrócić tu i zmierzyć się z tobą, choć nic mi nie wiadomo o zwadzie między naszymi rodami. Wiedz też, że na szerokim świecie dzieją się teraz rzeczy daleko ważniejsze od rodowych waśni, których nie pojmujesz, i nie waż się do nich mieszać w żaden sposób.

Wszystko to było prawdą. Dziesiętnik ów, daleki krewny Trzebora, żył stale na książęcym dworze i nie wiedział nic o wyprawie włodarza Skerhu, a skąd się wziął w Urhaszu i jakie było jego zadanie, dowiedzie się później.

Nawet własni ludzie Skerwarża uznali słowa dziesiętnika za rozsądne i słuszne. Ale on sam, jak wszyscy w jego rodzie porywczy i skory do gniewu, ani chciał słyszeć o zwłoce. Lżył Streżdę i groził, że wytnie jego ludzi w pień, jeśli natychmiast nie stawi mu czoła. Nie chciał Streżda dopuścić do bitki, chociaż nie wiadomo, dla kogo gorzej by się ona skończyła, a w końcu też od obelg, które słyszał, zawrzała w nim krew i stanął do pojedynku.

Wspaniała to była walka i nikt już dzisiaj takiej nie ujrzy. Dziesiętnik, choć młody, zaprawiony był w wielu bojach i obracał włócznią zręcznie, lecz mniej zwinny Skerwarż przewyższał go siłą i doświadczeniem. Toteż pokonał go po długiej walce i rozplątał mu głowę wraz z hełmem, choć sam poniósł przy tym wiele szwanku. Drużynnicy księcia zabrali ciało swego wodza, a że nie wiedzieli dokładnie, co mu książe zlecił, musieli zawrócić do Ranżnaru.

Tak się to stało i teraz mogę już powiedzieć wam, dokąd i po co szli drużynnicy księcia. Bo dotąd opowiadałem o sprawach slengañskiej puszczy, a przecież na szerokim świecie czas nie stanął ani ludzie nie posnęli, tylko wszystko szło swoją koleją. Królował wówczas w Estaronie Othomahr, zwany Szalonym. Otóż w tym czasie, gdy Hrebor opuszczał rodzinne dworzyszczce, podbił on i zhołdował wszystkie okoliczne kraje. Tym sposobem jeden Sleng pozostał pośród podległych mu ziem wolny i drwił sobie z jego korony. Postanowił zatem wygubić mieszkańców puszczy i uczynić z nich swe sługi. Nikt w Slengu nie przeczuwał nadchodzącej burzy, z dawna bowiem wadzono się z sąsiadem zza gór, lecz od strony rzeki od lat już nie przychodziły napaści.

Źle powiedziałem: jeden człowiek przejrzał, co szykują Slenganom nadchodzące czasy, i myślał, jak obronić się przed estaronską nawałą, a był to książe Hodbor — mężny, prawy i rozumny władca, którego imię pozostanie sławne na zawsze. Jednak nie będę dziś o nim opowiadać, bo inna to zupełnie historia, z losami Hrebora niewiele mająca wspólnego. Dość będzie wam wiedzieć, że kiedy Żargradowic zdążył do Skerhu, książe Hodbor słał na wszystkie strony gońców i zaciągał młodych zabijaków do swej drużyny. A gdy Hrebor zapomniał o całym świecie, pogrążywszy się w miłości do Danrady, Othomahr zbierał swe wojska i jawnie szykował się do wojny.

Wiedział Hodbor, że choćby każdy w puszczy pochwylił za broń i tak nie dość ich będzie do walki z zakutymi w stal rycerzami Othomarha. Umyślił zatem, że gdy nieprzyjaciel przekroczy rzekę, powstaną przeciw królowi maronarscy wielmoże i tym sposobem łatwiej pokonają wspólnego wroga. W tym właśnie celu, aby omówić z maronarskimi grafami warunki przymierza, podążył do Skurgonu młody Streżda; a zanim jego ludzie wrócili do Ranżnaru, zanim wysłał Hodbor nowych posłów, wydarzyły się inne rzeczy, i tym sposobem za sprawą Hrebora zaprzepaszczono zwycięstwo w nadchodzącej wojnie.

Wróćmy jednak do niego, skoro wiecie już, co się tymczasem działo poza granicami puszczy. Szedł Hrebor, jak już powiedziałem, powoli i nieprzytomnie, a złe duchy kierowały jego krokami. Głowił się przy tym, co począć, lecz do niczego nie przychodził, a pamiętając, co go spotkało w leśnym trzemie, bał się kogokolwiek pytać o radę. Nikt też się zbytnio nie interesował samotnym wędrowcem, jako że w osadach i na gościńcach trwał wielki ruch. Obchodzili je książęcy gońcy, zwołując gospodarzy na wielki wiec do Ranżnaru. W owych czasach bowiem wiece nie odbywały się tak jak teraz, same z siebie, lecz tylko na wezwanie księcia.

Szli zatem wszyscy do stolicy, radzić o wojnie, a za nimi włócił się i Hrebor. I tak Dola pokierowała jego krokami, że spotkał po drodze Skerwarża, zdążającego z wieloma innymi Pahwazdami na wiec. Skerwarż poznał go po włóczni, która w ich rodzie od wieków przechodziła z ojca na syna, i wielce się z tego spotkania uradował. Wcześniej już bowiem postanowił z innymi, że na wiecu rozprawią się ze Streżdami. Powitawszy krewniaka serdecznie, zaraz zaczął go wypytywać o różne rzeczy i opowiadać, co sam uczynił i jak chce pomścić Żargrada. Hrebor zrazu milczał, ale potem, widząc, jak wielu życzliwych sobie i

oddanych jego sprawie ludzi ma wokół siebie, rozchmurzył się. Długo, długo rozmawiał ze Skerwarzem, rozpalając się przy tym coraz bardziej, aż wreszcie o niczym innym już nie myślał, jak tylko o zemście na Streždach. Tak łatwo, jak to już mówiłem, zmieniały się nastroje, które nim rządziły. I znowu zapomniawszy o wszystkim, co dotąd z jego poczynań wynikło, popadł Hrebor w takie same jak dawniej łgarstwa. Kazano mu mówić — nie potrafił opowiedzieć rzeczy takimi, jakimi były, lecz swoim zwyczajem tu coś ujął, tam dodał. I w końcu wyszło z jego słów dowodnie, że Trzebor po to tylko przyjął przybysza, aby oszczerco oskarżyć go o związek z Danradą i w ten sposób uzyskać powód do napaści na Zadrag, bo jako człowiek tchórzliwy nie chciał szukać łupu za górami, czy może miał do Żargrada jakieś zadawnione urazy.

Tym sposobem zyskał Hrebor nadzieję, iż z pomocą rodu dokona zemsty i uwolni dusze swych rodziców od cierpień, co pomoże mu znaleźć lepszą drogę.

Stanęli zatem na wiecowym polu pod Ranżnarem. Niechybnie doszłoby tam do bitki, skoro tylko przyszli jedni i drudzy; szczęściem Hodbor, wiedząc już o zwadzie, kazał swej drużynie rozdzielić zwaśnione rody; tym sposobem utrzymano mir, aż wiec się rozpoczął.

Ale jedni i drudzy chodzili pośród zebranych, burząc umysły, i jak to zwykle bywa, inne rody brały to jedną, to drugą stronę. Z najmożniejszych ze Streždami trzymali Jarżowdy i Nawranzy, a za Pahwazdami ujęli się Astarhy i Tragzy i w końcu nie było nikogo na wiecu, komu ta sprawa byłaby obojętna.

Chciał Hodbor radzić o wojnie, lecz nic z tego nie wyszło. Dla wszystkich wróżda była pilniejszą sprawą i póki jej nie zakończono, nie chcieli słyszeć o czym innym. A że rody ani myślały się ugodzić, zdawało się już, że nie może być inaczej, tylko najlepsi woje, na których książę mógł liczyć, powyrzynają się nawzajem, nie czekając wcale Estarończyków.

Nie darmo jednak nosił Hodbor koronę przodków; szedł z nią w parze rozsądek godny władcy wolnych ludzi. Podsunął zebrany myśl, żeby dwaj zwaśnieni załatwili ze sobą sprawę po męsku, w zgodnym z prawem pojedynku. Zgodzili się na to gospodarze i tak im to przypało do serca, że zawsze odtąd tak rozsądzano na wiecu najostrzejsze spory. Streżdy i Pahwazdy też na to przystali, gdyż jedni i drudzy pewni byli, że ich jest słuszność i bogowie okażą im sprawiedliwość. Jeden tylko Hrebor struchlał na myśl, że ma się potykać z człowiekiem, któremu poprzysięgał wieczną przyjaźń, ale nie wypadało mu tego po sobie okazać.

Wyznaczono walkę na następny ranek. Wytoczono plac, ogrodzono go liną, a wszyscy, kto żyw, zebrali się patrzeć na to spotkanie. Wreszcie zadęto w róg, ale Hrebor nie było na placu. Skerwarż popędził po krewniaka, lecz nie znalazł go w namiocie. Szukał Żargradowica po całym obozie — na próżno. Zadęto wreszcie w róg po raz trzeci i wszyscy pojęli, że Hrebor uciekł przed walką. Ucieszyli się Streżdy, syci zemsty i radzi, że wszyscy odwrócili się od pohańbionych wrogów. A kiedy Skerwarż ujrzał, jaka hańba spadła na ród i na niego, jako na najstarszego, krew zalała mu głowę i oddał ducha jeszcze tego samego dnia. Tak bogowie pokarali go za zmuszenie do pojedynku i zabicie książęcego dziesiętnika.

Można było zatem radzić o wojnie i książę cieszył się, że tak, a nie inaczej zakończyła się ta sprawa. „Gdyby walczyli ze sobą — myślał i miał w tym słuszność — mógłby ród pokonanego nie uznać pojedynku i ciągnąć wróżdę dalej, a tak jest już po niej”. Prędko też o sprawie tej zapomniano, zwłaszcza że po Hreborze słuch zaginął, a w czasie wojny były ważniejsze sprawy. Jednak ponieważ nie o nich tu opowiadam, pomińmy te rzeczy i wróćmy do losów Hrebor.

Nie miał on już nigdy używać swego imienia, bo sam dobrze wiedział, że swą ucieczką jakby wykreślił się spośród żywych. Nawet w myślach nie zwał siebie inaczej niż cudakiem, zrozumiał bowiem, że urodził się człowiekiem głupim i tchórzliwym i że nosi w sobie strach większy, niż ma siły. Nie chciał spotykać ludzi, ukrył się zatem głęboko w puszczy, pośród najgęstszych moczarów, gdzie nawet myśliwi bali się t zaglądać. Żył z polowania i leśnych

owoców, łowił ryby i niczego już w życiu nie czekał, prócz tego, by dokonało się, co się musi dokonać. Niestraszne mu były najgorsze nawet uroczyska, bo niepodobnym było, żeby mu się mogło jeszcze przydarzyć coś gorszego niż dotąd. Tak zatem żył w ukryciu, aż przysłała zima i mróz ściał mokradła. Wtedy to dopiero rozpoczął Othomarh z dawna zamierzaną wojnę, ale o tym Cudak ani nie wiedział, ani wiedzieć nie chciał.

Nie śpieszmy się tak jednak z naszą opowieścią, zanim bowiem spadły pierwsze śniegi, zdarzyło się z Hreborem jeszcze coś, czego nie sposób tu przemilczeć. Otóż dnia pewnego, włócząc się po lesie, napotkał zbudowaną na skraju uroczyska kleć. Rozumiał, że musi tam mieszkać czarownik lub wiedźma, gdyż nikt inny nie ważyłby się osiaść tak blisko złego. „Bogowie nic mi nie pomogą, cóż więc szkodzi spytać o radę ciemne moce?” — pomyślał i ruszył do chaty.

Nie pomylił się, gdyż w istocie mieszkała tam pewna wiedźma. Umiała ona wróżyć z wody i ognia, sporządzać najsilniejsze nawiezy i wywary z ziół, a przeciw komu ruszyła palcem, ten mógł być pewien, że nie uśmiechnie się więcej. Imienia jej nikt nie znał i nie pytał o nie. Przybywali do niej ludzie nieraz z bardzo daleka, żaden jednak nie mógłby rzec nawet, jak wygląda, gdyż każdy bał się na nią podnieść wzrok, aby nie rzuciła złego uroku, i skoro otrzymał, co prosił, uciekał czym prędzej. Stąd nikt nawet nie wiedział, że stara wiedźma niedawno rozstała się z tym światem, lecz wcześniej znalazła sobie skądś równie jak ona potępioną następczynię, której zdążyła przekazać wiele swej wiedzy i mocy.

Hrebor, jak już rzekłem, nie lękał się złych sił. Wszedł do chaty śmiało, z podniesionym czołem i spojrzał wiedźmie w twarz. Serce jego zadrżało nagle, poznał bowiem swą kochankę, którą z dawna miał za umarłą. I ona go poznała, choć oboje zmienili się bardzo od czasu pierwszych spotkań na Trzeborowym dworzyszczu. Padli sobie jak za dawnych dni w objęcia, Danrada ze łzami, Hrebor ze zwieszoną głową, i trwali tak długo, z wielkiego wzruszenia nie mogąc się do siebie odezwać ani słowem.

Przebudziło się serce w młodej wiedźmie i choć już się była pogodziła ze swym losem, zapragnęła znów ludzi i ludzkich spraw. W Hreborze zaś rozpalila się dawna miłość i odżyły wspomnienia. Jeśli bowiem kiedyś był szczęśliwy, to wtedy tylko, gdy głuchy i ślepy na wszystko chronił się w ramionach. Danrady. Nie chciał już niczego, tylko by powróciło to, co było między nimi dawniej. Zapragnął zbudować dom, z dala od ludzi, w przepastnych głębiach puszczy, w którym żyliby razem aż do końca swych dni, nie myśląc o niczym. Tego dnia siedzieli długo w noc, przytuleni do siebie, i opowiadali sobie swe niewesołe dzieje.

Rychło też zabrał się Hrebor do pracy. Całymi dniami ścigał z lasu pnie drzew i ociosawszy tramy łączył je, aż postawił wysokie na półtora człowieka ściany. Do dziś może stoi gdzieś pośród bagnisk Swarm ta nie dokończona chata. Z rzadka zabłądzi tam ktoś, by się zdziwić, co za nieznany cieśla rozpoczął budowę w tak dzikim i odludnym miejscu.

Danrada, choć w istocie pragnęła porzucić swe czarnoksiężskie zajęcia, inne jednak chowała myśli. Hrebor, nie tak już piękny jak dawniej, odziany w łachmany i skóry zwierząt, z twarzą pooraną bruzdami — słowem, nawet wyglądem swym w pełni zasługujący na miano Cudaka, nie budził już w niej tej żądzy, co dawniej. Słuchając jego słów, odkryła w nim tchórza i człowieka bez krzty rozsądku, zasługującego może na litość, lecz nie wartego miłości. A kiedy opowiadał jej o swych dziejach, zapiekły ją wspomnienia tego, co miała na Skerhańskim dworzyszczu i co straciła. I zaczęła kiełkować w przewrotnej kobiecie myśl, że Trzebor wiele jej wybaczy, jeśli przyniesie mu i rzuci do stóp głowę kochanka.

I chociaż z pozoru nic się w niej nie zmieniło i wciąż była dla Hrebora taka jak w Skerhu, uparta myśl drażyła jej serce, aż zawładnęła nim do końca.

Pewnej nocy, gdy znużony miłością Hrebor zasnął już głęboko, uniosła się cicho z posłania, wzięła długi, ostry sztylet i pochyliła się nad kochankiem, mierząc w gardło. Już miała zadać morderczy cios, kiedy Hrebor ocknął się nagle. Ujrzał nad sobą pochyloną postać i błysk

klingi, więc nie myśląc wcale wyrwał jej ostrze i na oślep, w przerażeniu zadał cios. Sztylet zatonął w piersi Danrazy i z jękiem osunęła się ona na klepisko, brocząc krwią.

Tak się stało, że pierwszy raz w życiu odebrał Hrebor komuś życie i przy tym zabił tę, którą jedyną w świecie kochał całym sercem. Pojął, co zrobił, ale stało się — gdy pochylał się nad nią, usiłując unieść jej głowę, twarz Danrazy zasnuwał już z wolna cień śmierci. Zdążyła jeszcze tylko wyznać mu swój zamiar i poprosić o wybaczenie, skoro odchodzi już z tego świata.

— Wybaczam ci, Danrado — powiedział Hrebor. — Przekleństwo ciąży nade mną i stokroć lepiej by było, gdybym zginął z twej ręki, zamiast żyć po tym, co się stało.

Wtedy twarz Danrazy rozjaśnił uśmiech. Zebrała resztę sił, otworzyła raz jeszcze oczy i kazała Hreborowi rozsypać na palenisku uroczone ziele schowane w skrzyni. Powiedziała mu też zaklęcie, jakie miał przy tym powtórzyć. Znała je od starej wiedźmy, lecz jak ono brzmiało, tego nie wiem i nikt już dzisiaj nie wie, bo zginęło ono wraz z Hreborem Cudakiem. I wtedy dopiero oczy zaszyły jej mgłą i wydała ostatnie tchnienie.

Nim noc się skończyła, Hrebor usypał Danradzie stos z przygotowanych do budowy tramów i pogrzebał ją zgodnie z obyczajem. Potem, wciąż jeszcze w mroku nocy, usiadł przed paleniskiem i sypnąwszy w ogień ziele, wypowiedział słowa zaklęcia.

Wtedy płomienie wzdęły się nagle, sypnęły z nich iskry, aż Hrebor cofnął się przed żarem. Rozjaśnił izbę blask, od którego musiał odwrócić głowę i mocno zacisnąć powieki. Gdy je otworzył, ujrzał, jak wśród ognia formuje się z płomieni ludzka postać. Poznał w niej swego ojca w porąbanej zbroi i z krwawą włócznią w ręku. Przeraził się Hrebor i padł na twarz, oczekując, co się stanie.

— Czego chcesz ode mnie? — dobiegł go daleki, ale potężny głos Żargrada. — Czemu nawet po śmierci nie dajesz mi spokoju? Nie jesteś godny, aby twoje imię kalało wargi uczciwego człowieka. Krew ciągnie się za tobą, krew widzę na twych rękach i wokół ciebie. Po co mnie wzywasz, cudaku?

Hrebor skulił się jeszcze bardziej, a z jego ust z trudem dobyły się słowa: „przebaczenia, ojcze”.

— Przebaczenia — powtórzył zwid z goryczą. — Na lepszy liczyłem los, gdy przyjmowałem cię od twej matki. Żadna śmierć nie jest mężowi straszna i można zginąć nawet od skrytego ciosu, jeśli wiesz, że będzie ciebie miał kto pomścić. Gdybyś choć na tyle okazał się moim synem, wybaczyłbym ci wszystko inne. Ale wiem, że nigdy tego nie uczynisz, i ta kraina, w której umarli znajdują odpoczynek po trudach życia, na zawsze będzie dla mnie zawarta. Ale nie będę cię przeklinać, bo wiem teraz więcej, niż mogłem zobaczyć ludzkimi oczami. Umarłym łatwiej poznać przyczyny tego, co zdarza się na świecie.

— Ojcze — rzekł Hrebor, zdobywając się na śmiałość i podnosząc wzrok. — Wiem, że dobrze mówisz, lecz skoro poznałeś to, co jest zakryte przed śmiertelnymi, powiedz mi, czemu stałem się cudakiem i nie wzięłem nic z zacności twojej i twoich ojców? Sam niczego tak nie pragnę, jak poznania tej tajemnicy, lecz nikt mi jej nie umiał wyjaśnić.

Wtedy Żargrad zamyślił się i opowiedział synowi o tym, jak w samym zaraniu życia złośliwe demony złamały jego los.

— Lecz nic ci nie da ta wiedza — zakończył. — Bo żaden człowiek nie zwycięży demonów i nie zmusi ich do oddania tego, co raz zabrały, choćby był najmężniejszy na świecie; i nawet gdybyś poznał czar chroniący od ich mocy, nigdy nie będziesz miał na to dość siły. Do końca już pozostaniesz cudakiem, a los, który ci przypadnie potem, będzie stokroć gorszy od śmierci.

— Ojcze — szepnął Hrebor, lecz płomienie wzdęły się znowu, a gdy opadły, nie było już wśród nich Żargrada. Hrebor pozostał na klepisku i tak leżał bez sił, jak martwy, aż ogień dopalił się i świt rozjaśnił puszcę.

Wtedy podniósł się niczym we śnie, naznosił dREW i rozpałił ogień na nowo. Szukał długo, aż znalazł zaklęcia, które stara wiedźma latami spisywała na zwiłkach brzozonej kory. Czytał je szukając tego jednego, lecz nie mógł na nie trafić. I tak siedział długo, zapomniawszy o świecie, a co przeczytał, ciskał w płomienie.

Zostawmy go więc tam na chwilę, a sami spójrzmy, co się przez ten czas zdarzyło gdzie indziej.

Jak to się już rzekło, zwano estarońskiego króla Szalonym, bo jak szaleniec ciskał się na dziesięciokroć nieraz silniejsze hufce i rozbijał je w pył. Lecz wbrew temu imieniu był on wodzem rozważnym i przebiegłym, który nigdy nie posyłał wojsk w nieznaną. Tak i przed wyprawą do Slengu wysłał najpierw w puszcze wielu swoich ludzi, którzy w przebraniach kupców lub żebraków przeszli cały kraj i dokładnie mu potem zdali ze wszystkiego sprawę. Wiedział, że leśne drogi są zbyt grząskie dla jego pancерnej jazdy, toteż zwlekał niemal rok, aż mróz skuł błota i mokradła. Miał z tego jeszcze i taką korzyść, że znudzeni próżnym czekaniem woje Hodbora po większej części rozeszli się w końcu do domów. Kiedy więc Estarończycy przeszli rzekę, miał przy sobie Hodbor tylko swą wierną drużynę i ledwie kilkadziesiąt innych włóczy. Nie było ich razem nawet w dziesiątej części tylu co najeźdźców.

Parły więc estarońskie hufce przez Sleng, siejąc śmierć i zniszczenie. Na zimowe słońce stanęli już w Urhaszu, pustosząc po drodze osady i równając je z ziemią. Tam Othomarr rozdzielił swe wojska na trzy oddziały: jeden poszedł na zachód, ku Isthardowi, drugi do Harlongu, z trzecim zaś sam król ruszył na Ranżnar. Walczyli Slenganie mężnie i wielu estarońskich rycerzy pozostało w puszczy na wieki, lecz i obrońcy ginęli jeden po drugim. I szły wrogie oddziały przez kraj jak pancerne tarany, groźne i niepowstrzymane.

Sami zresztą dobrze wiecie, jak to wtedy było, bo nie raz i nie dwa opowiadali o tym gędziarze. Pominę więc te sprawy. Jest wam zapewne wiadomo, że na czele tej rotty, która szła do Isthardu, stanął syn królewski Gordenhert. Był to rycerz równie jak ojciec nieustraszony, lecz bardziej jeszcze od niego zapalczywy. Wiódł swój hufiec leśnymi ścieżkami, z trudem torując sobie drogę wśród gąszczy, a za nim jak wilki podążały oddziały Slengan, szarpiąc strażę, urywając tabory i wstrzymując pochód, jak się dało. Lecz że były nieliczne i pozbawione jednego wodza — gdyż Hodbor walczył z oddziałem Othomarra — nie ważyły się Gordenhertowi zastępować na dłuższej drogi, po każdej utarczce prędko chowały się w lesie.

Tyle odniosły sukcesu, że podczas jednej z niezliczonych potyczek ustrzelono z łuków przewodnika, który wiódł oddział. A że drugi zmarł wcześniej od choroby, zaczął Gordenhert błądzić w nie znanym sobie lesie. Nowego przewodnika trudno było znaleźć, bo chwytani jeńcy woleli ginąć, niż przysłużyć się wrogom, a nawet jeśli który złamał się na mękach, trudno mu było ufać.

Wreszcie Gordenhert dowiedział się od jednego z jeńców, że opodal miejsca, które właśnie mijają, mieszka na moczarach pewna stara wiedźma.

— Niechże tak będzie — rzekł. — Potrzebuję przewodnika, choćby miał nim być najgorszy z upiorów.

I zaraz też wysłał poczet rycerzy, by znaleźli tę wiedźmę i przywiedli ją do niego.

Jednak kiedy rycerze odnaleźli kleć wśród mokradeł, nie było w niej nikogo. Tylko przed chatą znaleźli ciepły jeszcze stos, ledwie posypany ziemią, a w chacie półnagiego człowieka uwalanego krwią i z szaleństwem w oczach. Siedział on nieruchomo i wpatrywał się w palenisko, jakby nie widząc przybyszy.

— Kim jesteś i co tu robisz? — spytał wreszcie przewodzący Estarończykom rycerz i trącił go końcem miecza.

— Jestem Cudak — odparł zagadnięty, nie poruszając się. — A wy czego tu szukacie?

— Jestem Vramer z hurmiońskiego rodu, rycerz króla Othomarha. Szukamy wiedźmy, która ponoć tu mieszka.

— Nie znajdziecie jej — rzekł Cudak. — Ja ją zabiłem, a potem usypałem jej ten stos, który widzicie.

Vramer wyczuł w jego głosie szaleństwo, cofnął się dwa kroki i nadstawił miecz. Ale widząc, że Cudak siedzi spokojnie, powiedział po chwili:

— Pójdiesz z nami do księcia Gordenherta. On zdecyduje, co z tobą zrobić. I nie radzę ci uciekać, jeśli nie chcesz posmakować naszych mieczy.

Hrebor jednak nie myślał opierać się rycerzom. Bez słowa odział się i poszedł za nimi. Tak znalazł się w obozie Gordenherta, któremu Vramer zdał sprawę w tych słowach.

— Ten człowiek powiada, że zabił wiedźmę, o której nam mówiono. Moi ludzie twierdzą, że musi być czarownikiem, skoro nie bał się tego dokonać. Mnie jednak widzi się on raczej obłąkanym. Tak czy owak, jeśli chcesz znać moją radę, panie, każ go zabić czym prędzej, coś mi bowiem mówi, że ściągnie na nas nieszczęście.

Ale Gordenhert nie dał posłuchu swemu rycerzowi i kazał przyprowadzić do siebie Hrebora.

— Kim jesteś i skąd się wywodzi twój ród? — spytał, patrząc groźnie w twarz jeńca.

Hrebor nie zląkł się wcale i odpowiedział:

— Jestem Cudak, człowiek przeklęty, pozbawiony rodu i imienia. Jestem tym, który nie lęka się nikogo ani niczego, bo nic mu już nie pozostało w życiu. Nie pragnę oglądać ludzi. Czemu więc nasłałeś na mnie swoich rycerzy?

Gordenhert zamyślił się, bo zauważył, że ma do czynienia z dziwnym człowiekiem, i postanowił rozegrać rzecz chytrze.

— Widzę, iż ludzie tutejsi wyrządzili ci jakąś krzywdę i masz słuszne powody, by ich nienawidzić. Lecz uwierz mi, że nie jest rzeczą męską kryć się po lesie; lepiej wziąć pomstę na swych krzywdzicielach. Możesz to łatwo zrobić, jeśli doprowadzisz mnie i moich rycerzy do miejsca, które nazywacie Isthard.

— Mogę tak zrobić, skoro o to prosisz — odparł Cudak z kamienną twarzą. — Bo jak ci powiedziałem, nic mi już w życiu nie pozostało i na niczym mi—nie zależy.

Gordenhert ucieszył się w sercu, że tak przemyślnie zdobył dla swoich usług Cudaka. Nie dał jednak tego po sobie poznać i rzekł:

— Pozwól więc, niech sprawdzę, czy mogę ci zaufać. Tak się składa, że moi ludzie otoczyli niedawno w lesie większą bandę wrogów. Przyznam, że bronili się mężnie, ale jednego ścisnęliśmy między tarczami i dostaliśmy żywcem. Przyprowadzę ci go, abys mógł od niego rozpocząć zemstę.

Hrebor nie zdążył nic powiedzieć, gdy zbrojni pachołkowie postawili przed nim spętanego jeńca. Na jego widok krew uderzyła Żargradowicowi do głowy, był to bowiem nie kto inny, jak Trzebor Streżda. Ujrawszy wśród wrogów Hrebora, pojął on, że przyszła na niego ostatnia godzina, nic jednak nie rzekł, tylko wydał wargi i splunął z pogardą na Cudaka.

— Uczynię to chętnie — rzekł wtedy Hrebor Gordenhertowi i odsłoniwszy ostrze swej włóczni, ciął nią Streżdę przez gardło odwalając głowę od ciała.

— Oto zemsta za mego ojca i matkę — powiedział przy tym, a uczynił to wszystko z takim spokojem i z tak kamienną twarzą, że nawet nawykli do okrucieństw estarońscy rycerze patrzyli na tę haniebną śmierć starego wojownika z odrazą i niesmakiem.

Wtedy Gordenhert uznał, że może zaufać Cudakowi. Kazał zaprowadzić go do namiotów, dać strawę i przyodziewek. Wziął też Hrebor zbroję zabitego i jego maskę, a że nie mógł na niej naznaczyć barw swojego rodu, zamalował ją całą na czarno. Na tym nakreślił białym kolorem zarys trupiej czaszki i w ten sposób zrobił maskę śmierci, którą rzadko się widuje, bo odważają się ją nosić tylko ludzie przeklęci.

Odtąd wojska Gordenherta szły sprawniej i szybciej, gdyż ich przewodnik prowadził je pewnymi, choć nawet przez nich nie przeczuwanymi ścieżkami. Łatwiej też radzili sobie

Estarończycy z obrońcami ziem, przez które szli, jako że ze śmiercią Trzebora, przewodzącego najliczniejszej grupie, serca w Slenganach mocno podupadły. Szli jedynie trop w trop za hufcem, a będąc bez taboru i z niewielkimi tylko zapasami, bardziej przy tym cierpieli od chłodu niż najeźdźcy. Nie atakowali zatem tak zaciekle, jak wcześniej, czekali na Ursza Brzedę, który wiódł ku nim blisko setkę dzielnych wojowników ze swego rodu, a także Astarhów i Zwardów.

Wreszcie bez większych przeszkód stanęły wojska Gordenherta w osadzie zwanej Nażaz, pustej zupełnie, bo ludność wraz z dobytkiem schroniła się przed Estarończykami w lesie. Tam kazał Gordenhert rozłożyć obóz. Gdy już układał się do snu, dano mu znać, że Cudak chce z nim w pilnej sprawie zaraz rozmawiać. A zdążył już księżę nabrać dla swego przewodnika takiego poważania, że nie bacząc na późną porę, kazał go zaraz wpuścić.

Hrebor pełen był spokoju i tylko w oczach tlił mu się jakiś dziwny blask, którego Estarończyk nie dostrzegł. Nie czekając pytań, przystąpił od razu do rzeczy.

— Zbierałem po lesie wieści od parobków, którzy się tam chronią, i doszło do mnie, że sam Hodbor stoi o niecały dzień drogi stąd i szykuje się do bitwy.

— Dobrze zatem! — zawołał Gordenhert. — Bo jak dotąd, muszę go szukać po całym jego kraju, co, przyznam, już mi ze szczętem obrzydło. Niczego innego nie pragnę bardziej, niż aby zastąpił nam wreszcie drogę.

— Dobrze mówisz, księżę — odrzekł Cudak. — Lecz nie ma on wielu wojów i pewnie nie stanie z tobą do otwartej bitwy. Jak znam tego księcia, a wiem o nim niejedno, z pewnością zechce zażyć jakiegoś podstępu. Radzę ci mieć się w drodze na baczności i uprzedzić rycerzy, by nie dali się zwieść.

— Zwycięstwo będzie przy mnie, jakem Gordenhert, syn Othomarha, który jestem potomkiem samego Erona. Nie lękaj się o nic. Cudaku, i prowadź nas dalej, a nagroda cię nie minie.

Hrebor odszedł zatem jak zawsze z twarzą, z której nie niożna było nic rozeznąć. Lecz kiedy następnego ranka rycerze ruszyli dalej, powiódł ich Żargradowic wcale nie ku Isthardowi, lecz w zupełnie inną stronę, na wielkie uroczyska. Nikt z Estarończyków tego nie zauważył, tylko idący za tylnymi strażami Slenganie zdziwili się tą nagłą, zmianą marszu. Posłali zaraz gońców do Ursza i nadal ostrożnie szli za Gordenherciem.

Tymczasem Estarończycy z dużym trudem przedzierali się przez puszcę, nigdzie indziej bowiem nie była ona tak gęsta i tak skłębiona, jak tam. Często aż musieli schodzić z koni i prowadzić je za sobą albo rąbać toporami drzewa, żeby wozy mogły przejechać. Dopiero trzeciego dnia pod wieczór droga stała się łatwiejsza, gdy dostali się na rozległe, zamarznęte bagniska.

— Można by tu nocować — powiedział Cudak do Gordenherta — ale lepiej jedźmy dalej; opodal znam niewielkie wzgórze, w sam raz na obóz. Trzeba też dobrze uważać, bo jeśli Hodbor chciałby urządzić jakąś zasadzkę, nie znajdzie lepszego miejsca niż to, w którym jesteśmy.

Poszedł Gordenhert za radą Cudaka i jechali dalej, choć już zapadła zupełna noc. Trwało to czas jakiś, gdy nagle straże dostrzegły z dala ogień. Zrazu pojawiły się z przodu, potem i po bokach, a przy tym zbliżały się i było ich coraz więcej. Nagła groza ogarnęła rycerzy, w przeraźliwej ciszy słysząc było tylko niespokojne rżenie koni; potem zaś zaczął ich dobiegać głos jakby wycia czy szlochu, odległy, lecz wciąż potężniejszy. Rycerze, nie czekając komendy, wstrzymywali wierzchowce, chorążowie zaś pędzili do Gordenherta po rozkazy, zwłaszcza gdy dostrzegli, że już i za tylną strażą pojawiły się ognie, a wszystkich razem jest równie wiele jak estarońskich wojowników.

Księżę zaś dłuższą już chwilę rozmawiał z Cudakiem. Nie znał tutejszych puszc i nie słyszał nigdy o spaleńcach ludziach, którzy za życia poszli złą drogą i nie potrafili przejść doliny ognia, która oddziela światy. Wrócili więc stamtąd na ziemię, trawieni wiecznymi

plamieniami, by stać się najgroźniejszymi sługami demonów. Źle wróży każdemu choć dostrzec spaleńca i nikt rozsądny nie będzie szukał spotkania z nimi. Lecz Gordenhert tego nie wiedział. Łatwo więc wierzył temu, co mu tłumaczył przewodnik.

— To Hodbor, jakem żyw! — przedkładał Cudak niespokojnym rycerzom. — Znam ja jego chytróść! Dał każdemu ze swoich po dwie pochodnie, drugie tyle pozatykali po lesie, a teraz wyją jak potępięncy, udając leśne upiory. I jak widzę, nie jest to głupie, skoro wystarcza, byście się strwożyli niby dzieci.

Przełknęli te słowa z goryczą, mówiąc, iż mogą się lękać upiorów, lecz ludzi nie przelęką się nigdy. Zaraz też rozpoczęto sprawiać szyki do bitwy. Wreszcie, gdy ognie zbliżyły się jeszcze bardziej, Gordenhert kazał uderzać. Trzasnęły opuszczane przyłbice, pochyliły się kopie i fala rycerzy runęła wprost ku wrogom. Wtedy Hrebor założył swą maskę, ściągnął z włóczni pokrowiec i ruszył za atakującymi.

By opisać dobrze, co się potem działo, na to brak jest słów w ludzkim języku. Estarończycy, choć lęk ich nie opuszczał, nacierali z furją, bo wiele można o nich powiedzieć złego, ale kto ich zna, ten potwierdzi, że męstwa nie brakowało im nigdy. Nawet zresztą gdy spostrzegli, że przyszło im walczyć nie z ludźmi, ale z płonącymi potworami, nie mogli już zawrócić, bo z tyłu napierały wciąż nowe szyki słane przez Gordenherta. Nie było też gdzie się cofać i tylko w mieczach mogli jeszcze mieć nadzieję, że przebiją się i ujdą cało. Krzyk ogromny zmieszał się z wyciem spaleńców i od samego szczęku broni drżały w całej puszczy drzewa. Padły mostem pierwsze szeregi niczym rażone piorunem, lecz już następne darły się po trupach naprzód, a z dziesiątków kling któraś w końcu musiała dojść do ciosu i zatopić się w płonącym cieple. Niełatwo jest walczyć ze spaleńcami, które wspiera moc demonów i których bronią jest strach, lecz w końcu i one nie mogły wstrzymać Estarończyków walczących z furją, jaka znana jest tylko ludziom stojącym twarzą w twarz ze śmiercią. Ginęły pod nogami rycerzy płomienne istoty, ćwiartowane mieczami i wdeptywane w czerwony od krwi śnieg, choć zaraz powstawały znowu, w końcu pękł ich szyk i resztki rycerstwa poczęły wdzierać się do tego miejsca, którego nigdy żaden człowiek nie dotknął stopą.

Wtedy przebudziły się złe moce i przybrawszy widomą postać, ruszyły z gniewem przeciw ludziom. Nagle zrobiło się jasno jak w dzień, a od tego blasku ślepl każdy, kto odważył się wznieść nań oczy. Zerwał się potężny wiatr, łamiąc drzewa, i ziemia zadrżała.

Widząc, jak ginie jego armia, pojął dopiero Gordenhert, że został oszukany. Szukał Cudaka, by go jeszcze zabić własną ręką, lecz dostrzegł go tylko, jak znika w ognistym wirze, krzycząc jakieś zaklęcia. Co zaś działo się dalej, tego nikt już na pewno nie wie. Ci bowiem nieliczni, co zdołali uciec, a wśród nich i sam nieszczęsny wódz, wpadli na włócznie Slengan, którym przybył wreszcie Ursz Brzeźda. Tam wybito ich do nogi, choć i Slenganie ponieśli srogie straty od zaziemskiego ognia i ledwie czwartej części z nich udało się ujść w porę.

Do świtu szalały złe moce, wiatr łamał drzewa, pioruny biły w ziemię i każdemu, kto to widział, zdawało się, że oto przyszedł ostatni dzień świata, w którym niebo połączy się z ziemią i bogowie zostaną wezwani na sąd przed oblicze Jedynego.

Ale po długiej nocy wstał wreszcie świt, zgasły płomień, a świat ku zdumieniu ludzi trwał nadal. Wtedy odważyli się Slenganie wyjść ze swych kryjówek, a Ursz, wzięwszy ze sobą kilku najodważniejszych, ruszył obejrzeć pobojuwisko. Oczom ich ukazał się straszny widok, trupy ludzkie i końskie piętrzyły się w wysokie przyzmy, a krwi było więcej niż wody w granicznej rzece. Wśród Estarończyków znaleźli też jednego wojownika w czarnej masce, ze zwęgloną włócznią w ręku. Gdy pochylili się nad nim, oddychał jeszcze. Zdjęli mu więc maskę, a oczom ich ukazała się twarz poorana bruzdami jak u starca i okolona zupełnie siwymi włosami.

— Kim jesteś, człowieku? — spytał Ursz, patrząc w tę twarz.

Wtedy leżący otworzył na chwilę oczy, spojrzął na niego i wyszeptał:

— Hrebor Pahwazda.

I strumienie łez spływały mu po policzkach, zamarzając na mrozie. Z tymi łzami uszła z niego resztką życia.

Zrozumiał Ursz, że stoi nad tym, który sprowadził na wrogów zagładę. Kazał zabrać sztywniejące ciało i odszedł czym prędzej, niechając pobożowiska. Słusznie uczynił, bowiem od nieziemskiego ognia otworzyły się lody i wszystko zaczęło powoli zapadać się w bagnie. I choć z dawna omijano te miejsca z daleka, to po owych zdarzeniach otoczyła je taka groza, że nikt już nigdy nie ważył się do nich zbliżyć. A jeśli ktoś zabłąkał się tam przypadkiem, nigdy już go żywi nie oglądali.

Ciało Hrebora zabrali wojownicy do pobliskiego trzemu, aby mu sprawić godny pochówek. Gdy jednak chcieli wnieść go do świątyni, niepojęta jakaś siła zatrzymała Hrebora przed bramą, tak jak mu się to już raz zdarzyło. Dopiero jeden z żerców, którego sprowadzono do świątyni, by wyjaśnić to dziwne zdarzenie, poznał w Hreborze człowieka, z którym niegdyś rozmawiał. On to wyjaśnił wojownikom, kim był Hrebor i jak się z nim obeszły Dole.

W końcu zatem pochowali go na skraju puszczy, w miejscu rzadko odwiedzanym przez ludzi. Usypali wysoki kurhan i długo stali przy nim w zadumie. A ów święty mąż zebrał od słowa do słowa, wszystko, co się na los Hrebora złożyło, i w ten sposób powstała ta opowieść, którą podjęli inni, aż przez wiele pokoleń dotarła do nas. Kurhan Hrebora dawno już rozmyły deszcze i rozwiały wiatry, a opowieść o Cudaku z cudzym sercem pozostała. Niech więc i wam służy do nauki i wzruszenia, a przemyślcie ją dobrze, w tym właśnie bowiem miejscu, przy kurhanie Hrebora Pahwazdy zwanego Cudakiem, kończy się ona, jak skończyć się musi każda historia.

Styczeń 1987